

Kronika tygodniowa.

Skończyła się nareszcie chole... — chciałem powiedzieć: skończyły się nareszcie wybory do rady miejskiej. Kto je wynalazł, oby przez całą wieczność pisał artykuły o wyborach. Nic gorszego mu nie życzę, bo naprzód i to już wielka kara, a powtóre pocziwiec ten myślał zapewne, że uszczęśliwi ludzkość, że wyborcy będą kierować się własnym zdaniem i wybierać ludzi najlepszych, tęgich w głowie, uczciwych w sercu. Gdyby biedaczysko ożył, przekonałby się nie po raz pierwszy, że ludziska z najpiękniejszej rzeczy umieją zrobić brzydką, z najmądrzejszej najgłupszą. Bo zdawałoby się, że wyborcom iść będzie jedynie o dobrą gospodarkę, bo im lepiej będzie gminie, tem lepiej będzie jej mieszkańcom. A tymczasem jedni wyborcy wyszukują zakazanego kołtuna, aby ich reprezentował; drudzy oddają głos aferzyście z pod ciemnej gwiazdy, bo spryt jego podziwiają; inni znowu sądzą, że główną kwalifikacją do Rady są literki „c. k.“, postawione przed oznaczeniem zajęcia kandydata; tamci znowu mózgi kandydatów oceniają podług wielkości ich kamienic, lub wysokości ich dochodów. Ale najwięcej jest wyborców takich, co nikogo sami nie wyszukują, nikogo nie oceniają, nie ważą, nie podziwiają, tylko oczekują, aż im ktoś napisze, na kogo głosować mają. I zdaje im się, że postępują ogromnie rozumnie, strasznie politycznie, kiedy innym za siebie myśleć dają. Dzięki takim Abderytom, kretynom z urodzenia lub dla miłego spokoju, nie tylko znajdują się na listach wyborczych kandydaci, co wstręt, a częściej śmiech wzbudzają, ale są całe listy ułożone tak, że wołają o pomstę do zdrowego rozsądku.

Czy nie był to np. wielki żartowniś, który na jednej liście umieścił obok siebie JE. Antoniego Wodzickiego, generała demokracji dra Doboszyńskiego i szefa sztabu konserwatystów rejenta T. Starzewskiego, dodając im do kompanii demokratę mieszczańskiego, konserwatystę żyda i weterynarza. A przecież to była lista partyjna, urzędowa lista demokracji mieszczańskiej. Firmę tej fabryce dali dwaj budowniczkowie, którzy polecenie głosowania za nią podpisali. A dla większej humorystyki jeden z tych budowniczych, prezes komitetu wyborczego, jest... Czechem. Zdawałoby się, że tego żartu prima-aprilisowego nikt nie weźmie na seryo, a przecież cała lista przeszła czterema piętami głosów. Więc cztery piąte wyborców należą do stronnictwa rydzyńsko-demokratyczno-konserwatywno-mieszczańsko-żydowskiego!

Sam wybór JE. Wodzickiego musi głęboko zastanowić. Czytelnicy wiedzą, jak kronikarz zapatrywał się na sprawę rydzyńską, ale gdyby nawet należał do obrońców JE. Wodzickiego, to musiałby przyznać, że sprawa jeszcze się toczy, a więc hr. W., choćby był niewinnym, jest jeszcze obwinionym. Wszak Koło polskie w Petersburgu jeszcze nie odebrało sprawozdania od komisji, która rozpatruje sprawę rydzyńską — wszak świeżo dopiero złożono sąd honorowy nad udziałem w tej sprawie dra Loewensteina, adwokata hr. Wodzickiego. I w takiej chwili wyborcy krakowscy obdarzają równem zaufaniem ową Ekscellencję, jak pięciu innych obywateli, którzy mogą się komuś podobać lub nie podobać, ale nie mieli w swym życiu Rydzyń.

A jednak dobrze, że już kończymy z tą dzumą, albo „bagnem“, jak się wyraża dr Gross w swym *Tygodniku*. Piszę: kończymy, a nie: skończyliśmy, bo w chwili kiedy płożę niniejszą kronikę, jeszcze tak zw. inteligencja przechodzi bóle porodowe wyborów. Walczące ze sobą komitety, demokratyczny i urzędniczy, posiadają już czterech wspólnych kandydatów, a jak mnie zapewnia osoba blisko tych komitetów stojąca, w ostatniej chwili ma wyjść poufny rozkaz od przewodników do potulnych wyborców, aby jeszcze drugich czterech kandydatów uznali za wspólnych. Takie rozwiązanie zupełnie odpowiadałoby odgrywanej farsie pióra hofrata Biłińskiego.

Ale farsa w wyższym stylu, właściwie komedia, będą dopiero wybory do parlamentu. Wyznaczono je w Galicji na dzień 13 czerwca, zapomniawszy widzieć, że trzynastka jest liczbą „pechową“. Ale choćby wybory odbyły się 11 czy 12 czerwca, jestem spokojny, że pech galicyjski i tak w pełnej sile wystąpi. Wątpię, czy jest kto, coby sobie chwalił ostatni skład Koła polskiego, ale obym był fałszywym prorokiem, twierdząc, że nie będzie lepiej, a może być gorzej. Choćby ubyło parę „gwiazd“ w rodzaju Paduchów, Szpondrów, Stohandłów i t. d. —

bo nie chcę dalej wyliczać, aby nie opuścić przypadkiem jakiej znacznej duszy — choćby tych gwiazd nieco ubyło, znajdą się inne, bodaj czy nie w lepszym gatunku. Bo dobry przykład znajduje naśladowców, do gotowych wzorów łatwo się dostosować. Co do Krakowa, którego posłowie zyskali sobie sławę światową „złotem milczeniem“ i wojenną marynarką, ma zająć w połowie wymiana mózgów. Należałoby się z tego cieszyć, bo o gorsze (z wyjątkiem jednego) doprawdy trudno, a jednak trudno pozbyć się obawy, że jak zaczniemy szukać i wybierać, to wpadniemy z deszczu pod rynek. Już to taki krakowski los garbaty, że co wybory, to gorsi posłowie. Widocznie grunt wyjałowiony, więc plon coraz marniejszy. Trzebaby jakichś nowych gospodarzy, coby zmienili system uprawy roli i do lepszych doprowadzili wyników.

Zmienił swój system hr. Józef Potocki. Był bardzo głośny jako myśliwy afrykański, jeszcze głośniejszy z olbrzymiej przegranej w klubie wiedeńskim. Nie odznaczył się jako poseł do Dumy, owszem poglądami, w niej wypowiedzianymi, sprawił nam niemiłą niespodziankę. Ale wycofał się z polityki, nie nastaje już na życie lwów i tygrysów, a i o jego występach gościnnych w klubach zagranicznych od dawna nie było słyhać. Umilkł — i to już było dobrze. Ale obecnie znów się odezwał i to w sposób, że *chapeau bas!* Nabył za dwieście i coś tam tysięcy rubli spory gmach w Warszawie i ofiarował go warszawskiemu Towarzystwu przyjaciół nauk. Bravo! Bravo! bardzo ładnie panie hrabio. Klaskalibyśmy ci szczerze, bez przypominania dawnych grzeszków, gdyby nie nasza nieszczęsna przesada. Niektóre dzienniki warszawskie olśnione tak były tym darem, że pisały dytyramby na cześć hrabiego Potockiego takie, jakby był drugim Staszicem. Z mówców na obiedzie przez niego danym, jeden był „dumny, że znalazł się mąż, który...“ drugi chciał, aby „każde jego słowo miało ogromną słodką głęboką wdzięczność“ i wołał, że dziś, dzięki ofiarodawcy, Warszawa zamienia się w „Jasnogród“ (Stan. Potocki, dziad hr. Józefa, nazwał Warszawę Ciemnogradem). Ta przesada musiała wywołać reakcję i dziś jedni, chwalcący ten czyn społeczny, zowią go jednak ekspiacją za to, że hrabia nic przedtem nie zrobił, a drudzy ekspiacją za to, że hrabia dawniej źle robił. Co najmniej bezkrytyczni chwalcę powinni byli pamiętać, że na parę tygodni przed ofiarą hr. Potockiego, księżna Michałowa Radziwiłłowa dała milion rubli na szkołę polską. A czemuż nie było nawet dziesiątej części tych zachwytołów? A mieszcanka Roeslerowa, która dała przed miesiącem tyleż, co hr. P. na cele publiczne? Co prawda — obiadu nie było.

Ale bądź co bądź — przesada nie przesada — należy się szczerze uznanie hojnemu mecenasowi nauki. Wiadomość o jego ofercie to jedna z tych dobrych wieści, które dochodzą nas z Warszawy.

Można dobrą wieścią z Warszawy nazwać upadek Momusa i złote słowa, jakie z tego powodu napisał *Kurier warszawski*. Fejletonista Drzazga „z uczuciem pewnej ulgi“ stwierdza ten upadek. „Dobrze jeszcze pamiętamy — pisze — dumny gest tych pretensjonalnych panów, którzy nie mając dosyć odwagi na rzetelną satyrę... rozdawali sobie na każdej premierze wieniec i patenty na geniusz“. Tworzyła się megalomania. Dziś do tych panów można powiedzieć: „Bawiliście nas piosenkami, kalemurami i dowcipami niekiedy udatnymi. Spróbujcie przemówić teraz inaczej, bo moglibyśmy przypuszczać, że za fanfaronadą satyryczną i gestem pogardy dla filistra, ukrywa się dyskretnie niemoc i pustka bezpłodna“.

Kabaret literacki stał się u nas niestety wszystkim — cała prasa zajmowała się nim więcej niż poezją, literaturą, nauką, sztuką. A rękę do tej reklamy przykładali nawet poważni dziennikarze i literaci. Ba! kabaret ma nawet opiekunów w wysokich dygnitarzach — oto świeżo donoszą z Wiednia, że nad urządzeniem go pracuje wybitny polski dygnitarz, radca dworu!

Na kabaretach tłumy — na odczytach pustki. „Straż polska“ urządziła ich szereg, poruszając sprawy bardzo ważne i żywotne. Mówiono, jak mamy ratować czechizowany i germanizowany Śląsk, zastanawiano się nad najważniejszymi zadaniami narodowymi, mówiono o czystości języka, o Muzeum raperswillskim — i to wszystko działo się przed pustymi krzesłami.

A o Raperswill jest teraz sporo hałasu. Gdyby połowa tego była prawdą, co mówią i piszą o jego kustoszu p. Rużyckim, jużby należało komitetowi Muzeum położyć koniec tej gospodarce. Wina tu główna rady nadzorczej, która nie spełnia przyjętych obowiązków. Ale bo też ta rada jest rozproszona i posiada w łonie swoim paru ludzi całkiem nie-

odpowiednich. Swoją drogą, na mniejsze rozmiary i gdzieindziej tak samo się dzieje jak w Raperswillu. Są i gdzieindziej znawcy, jeżeli nie od siedmiu, jak p. Rużycki, to od pięciu przynajmniej boleści.

Od znawców, innego wprawdzie rodzaju, zależeć będzie, kto obejmie teatr krakowski. Chodzą pogłoski, że los uśmiechnie się p. Bandrowskiemu, coby znać, że nie tylko dramat będzie lokatorem na placu św. Ducha. Inni twierdzą, że p. Solski przyrzekł lepiej się sprawować i że ktoś mu przyrzekł poparcie. Kronikarz nie wyraża swoich sympatii, bo jak tylko kto raz wpadnie w sympatyę teatralną, ten jest już człowiekiem na pół straconym: światło kinkietów mści mu wzrok, zapach kulis rozstraja nerwy, a przytem zyskuje od razu całe tuziny wrogów i wrogiń, którzy i które robią mu życie ponurym dramatem.

Lepiej już bawić się w wybory. Na początku kroniki zaznaczyłem, iż pewne dane przemawiają za zbliżeniem się dwu zasad, dwu wrogich komitetów wyborczych z inteligencji. Jeszcze nie miałem czasu skończyć kroniki, a te słowa moje stały się ciałem. Wprawdzie oba komitety, dla zachowania pozorów, obstają przy swych kandydatach, ale nagle w przeddzień wyborów zabrał głos komitet mieszczański i woła: pogódźcie się dziatki, ja wam to ułatwie. Co mają mieszczenie do koła inteligencji, skąd p. Beringer, prezes klubu mieszczańskiego, ma prawo układać listę, a tem samem wtrącać się do nieswojej rzeczy, to sprawa inna. Dość, że wtrąca się, że pakt tajnie zawarty między wrogami, on wyborcom obwieszcza. Nie ulega wątpliwości, że staje się to za zgodą generałów obu walczących komitetów. I stanie się wielkie „wykiwanie“ urzędników, którzy ze swoich właściwych kandydatów przeprowadzą trzech najwyżej. Tyluż byłoby przeprowadzili, gdyby się od razu porozumieli z komitetem demokratycznym. Naturalnie będzie się błagować, że obie strony nie ustąpiły ani kroku. Z błagą taką jesteśmy już tak otrzaskani, że nawet nikt się nie roześmieje głośno, kiedy pewien prowodyr urzędników, wielki antysemita, tłumaczy postawienie na liście urzędniczej p. Sarego jako konieczność narodową, bo przez przyjęcie tej kandydatury (słuchajcie!) pozyska się żydów we wschodniej Galicji dla kandydatów polskich przy wyborach do Rady państwa. Czego jak czego, ale fantazyj nam nie braknie. Dawniej od wielkiego łgarstwa sciany schły, dziś gorzej, bo schną mózgi tak zwanej inteligencji.

Zakończmy kronikę humorystyką „mimo woli“. Wynaleziono środek na pogrążenie w nicości socjałów i zaszczepienie jednoczesne austriackiego patriotyzmu. Na konferencji szkolnej okręgowej w Wiedniu jakiś patryota wystąpił z wnioskiem, aby nauczyciele do poprawiania zeszytów używali atramentu złotego, nie czerwonego, bo kolor czerwony to kolor socjałów, a złoty kolor przy czarnym da austriackie barwy państwowe. Dziś dzieci przyzwyczajają się do koloru czerwonego i idą w socjalistę, atrament złoty zaś wpajałby w nich od młodości uczucia patriotyczne. — W innym duchu i oczywiście z ironią przemawiał świeżo w parlamencie niemieckim socjalistyczny poseł Liebknecht, radząc rządowi aby zniósł order orła czerwonego, „bo my przy tej barwie nazawsze pozostaniemy“.

DOSTAWCA DLA ZWIĄZKU LEKARZY

B. WIERZEJSKI

Kraków, Rynek, róg ul. Floryańskiej. Tel. 0368.

POLECA:

WIOSENNE PŁASZCZE ANGIELSKIE

KAPELUSZE i CZAPKI.

Świeży transport na sezon 1911! Wybór wielki!

MAGAZYN GOTOWYCH UBRANŃ MĘSKICH

„SZATNIA“

(Spółka z ogr. odpowiedzialnością)

w Krakowie, Sławkowska 14 (vis à vis Grand Hotelu)

poleca:

Bogaty wybór pałt angielskich, zarzutek i ubrań marynarkowych, żakietowych i anglezowych.

Nową zdobyczą wiedzy lekarskiej jest „Epilepticon“, o którym powagi lekarskie najkorzystniej się wyrażają. Kto cierpi na epilepsyę, taniec św. Wita, zaburzenia nerwowe, otrzyma próbkę bezpłatnie w aptece Fort. Gralewskiego w Krakowie 109.

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną

KAWIARNIA J. BISANZA

w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter.